

Wiesław Wyszyński

część III z III

Sygnatura notacji: **N1443**

Data urodzenia: **28.02.1938 r.**

Data nagrania: **08.07.2020 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Giżycko, Polska.**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski, Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 57 min, część II: 56 min, część III: 49 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Wiesław Wyszyński: No i tam mieszkaliśmy kilka lat w tej Jeleniej Górze, ale matka tęskniła za Warszawą. Zresztą ta wojna matkę trochę wybiła z normalnego rytmu funkcjonowania. Nie umiała się znaleźć w tej nowej sytuacji. Była panienką z bardzo dobrego, zamożnego domu, a tu przyszły inne realia. Trzeba było fizycznie pracować, już nie można było udawać arystokratki. Trzeba było się wziąć za robotę, a się nic nie umiało. No i tak jakoś nam się tam nie wiodło w Jeleniej Górze. Wróciliśmy do Warszawy w nadziei, że tu będzie lepiej. A tu wcale lepiej nie było, przynajmniej przez jakiś czas. Przetrzymywali nas znajomi, pozwalali nam ze sobą mieszkać. Potem jak ja już zacząłem pracować, to jakoś się postarałem o mieszkanie, ale było ciężko. Ciężko było, tym bardziej, że Warszawa była zniszczona, ludzie się wymieszali. Już tych dawnych Warszawiaków, których charakter się znało, wiadomo było jak postępować, to już nie było. Jedynie na Pradze, jeszcze zachowała się stara Warszawa trochę, bo Praga nie była zniszczona, jeszcze tam ta przedwojenna ludność mieszkała. A w lewobrzeżnej Warszawie to już się wszystko przemieszało, już nie było tam znajomych, ani jakichś osób, z którymi moglibyśmy nawiązać kontakt, taki na zasadzie starej znajomości. No i po jakimś czasie ja się już stawałem dorosły i zacząłem myśleć o tym, jak tu się samemu utrzymać, już niezależnie od matki. No i odbyłem służbę wojskową, wcielono mnie w 1958 roku do wojska, do służby zasadniczej. Służyłem w Sulejówku, w ośrodku naukowo-badawczym sprzętu pancernego i motoryzacji. Sam odsłużyłem niecałe dwa lata i jak wyszedłem, nie miałem pracy. Aha, jeszcze pominąłem ważny moment w swoim życiu, ponieważ po przyjechaniu do Warszawy nikt już nas nie zamierzał utrzymywać, wobec tego ja poszedłem do pracy. I pierwsza moja praca, to miałem wtedy 14 lat, pracowałem na budowie przy odbudowywaniu Starówki i odbudowywałem tę Starówkę, na której się urodziłem. Mając 14 lat. Pracowałem w takiej brygadzie budowlanej jako uczeń zawodu. Malowaliśmy, no, wszystkie te nowobudowane... To przedsiębiorstwo nazywało się w skrócie KAM. Ja

potem w internecie starałem się odszyfrować, co się pod tym skrótem kryje. I okazało się, że to przedsiębiorstwo się nazywa Konserwacja Architektury Monumentalnej. Ja tam w tym przedsiębiorstwie pracowałem jako pomocnik malarza, mając 14 lat. To były czasy, kiedy pracowało się rzetelnie, oj, rzetelnie, nie pieszcząc się. Wyobraźcie sobie panowie, że ja, 14-letni chłopak, rozrabiałem farby klejowe, takie do malowania ścian, w 200-litrowej beczce. Tam razem z brygadzystą robiliśmy te farby, ja mu pomagałem. W taką 200-litrową beczkę stalową lało się wodę wsypywało się ton, wsypywało się jakieś barwniki, wsypywało się klej malarski, tam jeszcze jakieś inne składniki. Mieszało się, wkładało się kawał deski i się o kant opierając, mieszało to wszystko. To było 200 litrów płynu, no niecałe, bo tam zostawiało się jakiś margines. I tę beczkę z tą farbą trzeba było przenosić z budynku do budynku, żeby malować wnętrza odbudowywanych tam wokół rynku Starego Miasta, rynku Nowego Miasta, głównie przy rynku Starego Miasta. Zapiecek, Świętojańska, Nowomiejska, Barbakan. A na Barbakanie, proszę panów, ja osobiście malowałem te proporcje do chorągwi metalowe, które są na szczycie tych krużganków, tam są na Barbakanie. Ja osobiście malowałem, bo majster powiedział: „Wiesz jak ty jesteś najmłodszy w brygadzie, żebyś miał pamiątkę, to pomaluj te sztyce”. No i pomalowałem farbą grafitową. Trzymają się dotychczas. No i w czym rzecz, jeżeli chodzi o te farby, tak o nich mówię. Bo jak się zrobiło taką beczkę z 400 litrów tej farby, trzeba ją było przenieść gdzieś na jakieś inne podwórko, żeby tam czerpać i malować. Wobec tego pod górny rant tych beczek był uzbrojony wewnątrz takim drutem, takie wzmocnienie było. Więc pod tym drutem przebijało się na wylot dziurę. W tę dziurę się wkładało metalowy łom, tak na wylot. I we dwóch się podchodziło, tak na łokcie się ten łom brało, podnosiło się beczkę do góry i się przenosiło. I ja to robiłem zawsze z brygadzystą. Dorosły mężczyzna, Bogdański się nazywał ten brygadzysta, pamiętam. Ja miałem 14 lat i 200 kilo beczka. Wprawdzie silny byłem, zaprawiony już. Może tam nie było 200 kilo, ale blisko. I kiedyś zdarzyła się taka rzecz, świadcząca o warunkach życia wtedy i pracy. Przez ulicę Nowowiejską, przez Barbakan, Freta, Barbakan, Nowowiejską, taszczyliśmy tę beczkę na Rynek Starego Miasta chyba. No i jak to na budowie, porozwalane różne rupiecie, cegły, kamienie i tak dalej. Ja, dźwigając do spółki z Bogdańskim tę beczkę, potknąłem się o coś, upadłem. Beczka się nie przewróciła, bo my ją ledwo, ledwo znad ziemi unosiliśmy, tak że ona się oparła na ziemi, stanęła. Ale ja się przewróciłem. Jakiś przechodzący mężczyzna zobaczył tę scenę i do tego Bogdańskiego: „Jak pan może takiego dzieciaka zmuszać do takiej roboty, serca pan nie ma” i tak dalej, i tak dalej. A wtedy nie było żadnej ochrony pracy młodych, żadnego kodeksu pracy. To była normalna, „wolna Amerykanka”. Bogdański tak posłuchał chwilę, zakasał rękawy i do tego faceta, „Spie... taki, owaki”, a do mnie: „Ty wstawaj, nie udawaj mi tu słabiaka, bierz się do roboty”. I było załatwienie sprawy. Tak się w owym czasie pracowało. No, ale potem ambicje we mnie jakieś wstąpiły. Taką miałem naturę, za wszelką cenę chciałem się kształcić. No i żeby jakoś się ustawić w tym życiu, zacząłem szukać możliwości zatrudnienia w jakiejś lepszej pracy. I zostałem tokarzem. Toczyłem korbowody do silników czołgowych w zakładach mechanicznych Marcelego Nowotki na Woli. Też była robota dosyć ryzykowna, bo ja to obtaczałem, jak jest korbowód, panowie się orientują w samochodzie jakie korbowody, w czołgu taki korbowód i ma dwie główki, jedną dużą, drugą małą i przypinało się ten korbowód, przykręcało się śrubami do takiej planszajby, takie ogromne koło, żeliwne, masywne i ten korbowód się przykręcał tak, żeby główka była w centrum, puszczało się to w ruch na ogromnej tokarni, obtaczało się jedną główkę z drugiej strony, potem zmieniało się trzpień, tę dużą główkę się obtaczało. To ważyło kupę kilogramów. Ja przez długi okres, chyba z rok czasu tam pracowałem w tych zakładach mechanicznych. Pamiętam, że pracowałem tam w 1953 roku, w czasie, kiedy umarł Józef Stalin. To mi utkwiło w pamięci, że jak Józef Stalin w marcu 1953 roku umarł, to ja prawie z tego Nowotki..., bo z tej okazji tam wiec jakiś był, coś takiego... A potem, proszę panów, ponieważ ta nieskromna

żądza wiedzy we mnie jakoś coraz bardziej się rozwijała, wstąpiłem do milicji. Wstąpiłem do milicji w 1960 roku, no i wtedy zacząłem się kształcić. Najpierw zrobiłem szkołę średnią, bo podstawówkę to zrobiłem jeszcze jak mieszkaliśmy w Jeleniej Górze. Także zrobiłem szkołę średnią, potem poszedłem na studia, ukończyłem wydział prawa Uniwersytetu Warszawskiego. No i cały czas pracowałem w milicji, oczywiście. Pracowałem najpierw na Pradze Południe. Ależ towarzyszo tam było, bazar Różyckiego, bazar na Lubelskiej, dawniejszy jeszcze, to samo, co na Różyckiego, towarzyszo doborowe. Potem jak już skończyłem studia..., tak, jak skończyłem studia, poszedłem na szkołę oficerską milicji. Pracowałem na Wilczej i zaczęła mnie brzydzić polityka. Strasznie zaczęła mnie brzydzić. Panowie być może się z tym nie zetknęli. Na Śródmieściu, w dzielnicy Śródmieście, w czołowych czasach, chyba podobnie jest i teraz, mieściły się wszystkie centralne urzędy, Rada Ministrów, Sejm, Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, wszystkie centrale handlu zagranicznego, i charakterystyką pracy, którą ja wykonywałem było to, że gdzie kijem człowiek nie rzucił, tam trafił w osobę wysoko ustosunkowaną. I załatwiając jakąkolwiek sprawę, to trzeba było uważać tak, żeby załatwić to zgodnie z prawem, bo prawo było stosowane wtedy rygorystycznie, i żeby nie narazić się żadnemu dygnitarzowi. Trzeba było tak lawirować, że to już do brzydzenia dochodziło. Dam wam taki przykład, panowie. Był taki aktor, już nieżyjący, który grał pana Wołodyjowskiego, Łomnicki. Syn... Łomnicki był jednocześnie posłem na Sejm w latach 70. Kiedyś w nocy syn Łomnickiego, bananowy młodzieniec z kolegami, szedł pasażem tam przy domach towarowych „Centrum”, zachowywali się dosyć głośno, śpiewali, awanturowali się. Natknęli się na patrol milicji i dostali dla uspokojenia po parę pałek. No i potem jakiś wniosek do kolegów za zakłócenie ciszy nocnej. I oczywiście syn Łomnickiego, bananowy młodzieniec, jak to się mówiło, złożył skargę na milicjantów, że poturbowano go i tak dalej. Ja byłem naczelnikiem wydziału na Śródmieściu. Dostałem do wyjaśnienia tę skargę. I dyrektywy były oczywiste. Towarzysz mocno ustosunkowany, trzeba tak wyjaśnić, żeby milicjanci byli winni, postąpili nieprawidłowo i tak dalej. Mnie się to aż flaki przewracały. Wyjaśniłem tę sprawę dokładnie, przesłuchałem milicjantów, przesłuchałem świadków i jasno ze wszystkiego wynikało, że postępowanie milicjantów było prawidłowe, ponieważ reagowali na popełnione wykroczenie, bez dwóch zdań. Więc kończąc skargę, odpisałem panu Łomnickiemu, synowi oczywiście, że skarga się nie potwierdza, ponieważ według ustalonych rzeczy popełnił pan wykroczenie i interwencja milicjantów była słuszna, zasadna, przeprowadzona prawidłowo. I taką odpowiedź mu wysłałem. Chryste Panie, następnego dnia dowiedziałem się, że jestem w ogóle niekompetentny, że jakimś dziwnym trafem, sposobem się dostałem do milicji, że ja w ogóle nie powinienem się tu pokazywać na oczy, że się do niczego nie nadaję, że wstyd przynoszę rodzinie i całemu resortowi. No i że powtórnie trzeba sprawę wyjaśnić. No, oczywiście do wyjaśnienia dostał ją już inny kolega, który uznał, że milicjanci byli winni. Odpowiedź skarżącemu podpisał już nie pan kapitan, ale pan pułkownik, który mnie opieprzał trzy razy dziennie za to. I tak wyglądało życie na Śródmieściu. I stąd ja kombinowałem cały czas, nie tylko ja. Koledzy mówili: „Wiesiek, jak znajdziesz sposób, żeby się stąd wydostać, to daj znać, to my skorzystamy z twojej rady”. No i ja znalazłem sposób i się wyprowadziłem stamtąd na Suwalszczyznę. I mam w głębokim poważaniu Śródmieście, te wszystkie centralne instytucje i tę całą politykę zasraną. Chociaż muszę się panom pochwalić, że dzięki mojej inwencji bardzo korzystnie został potraktowany szpital dziecięcy Centrum Zdrowia Dziecka. O, to ciekawa sprawa. W latach 70. była taka ogólnopolska akcja zbierania funduszy na budowę Centrum Zdrowia Dziecka. Zrobiono zbiórki w różnych instytucjach, sponsorów szukano, chociaż to się nie nazywało wtedy sponsorowanie. I jaka była wtedy sytuacja? Właśnie wtedy ja na Śródmieściu pracowałem. Wtedy w Republice Federalnej Niemiec zaczęło panować bezrobocie. I całe tłumy gasterbeiterów o narodowości arabskiej było pozbawionych pracy w Niemczech i wracali do swoich ojczyzn. I nie wiem dlaczego, ale głównie przez Warszawę.

Może dlatego, że byli nadziani markami przyzwoicie i w Warszawie, co było blisko, mogli się nieźle zabawić dzięki tym pieniądзом i wracali przez Warszawę. No i jak byli w Warszawie, no to korzystali z życia, mieli kupę forsy, a więc knajpy, dziewczynki. A jak knajpy i dziewczynki, to awantury, wódka i tak dalej. Nieprawdą jest, że Arabowie nie piją wódki. Oni piją wódkę, ale wtedy jak Allah nie widzi. Tak nam tłumaczyli, że w Polsce Allah nie widzi. I słuchajcie, co z tego wynikło dobrego? Ponieważ uczestniczyli w różnych awanturach w knajpach, bo tak alfonsi, prostytutki, kelnerzy oszukiwali, robiły się różne sytuacje konfliktowe, dochodziło do bójek, do awantur. Ja jak rano przychodziłem do pracy, to bywało tak, że miałem pięciu, dziesięciu Arabów w areszcie za awantury. I teraz problem, bo zgodnie z kodeksem wykroczeń za awantury po pijanemu należy skierować obwinionego do kolegium do spraw wykroczeń. Wówczas nie było sądów grodzkich, tylko kolegia do spraw wykroczeń takie rzeczy rozpatrywały. Ale nie takie to proste, bo żeby skierować obwinionego do kolegium do spraw wykroczeń na mocy artykułu 40 kodeksu wykroczeń należało zapewnić obwinionemu prawo do obrony, a więc trzeba by mu było zafundować adwokata i tłumacza. I weź tu, człowieku, w Warszawie, znajdź tłumacza, który za darmo będzie na rozprawie tłumaczył tekst rozprawy Arabowi. W językach arabskich jest ogromna różnorodność. Afgańczyk nie dogada się z Kuwejczykiem, tam jest taka plątania tych narzeczy różnych, że to nie jest proste. I myśmy z początku robili, co mogli, żeby zapewnić tym Arabom tłumaczy. Zwracaliśmy się do placówek naukowych, do Uniwersytetu Warszawskiego, do placówek dyplomatycznych. No, z początku parę razy udało nam się tłumacza znaleźć, ale potem się ludzie zniechęcili, a to szło masowo, jak codziennie areszt pełny. I myśmy wpadli na genialny pomysł. Nie będę przeczył, że ja miałem w tym udział. Artykuł 40 Kodeksu Wykroczeń w owym czasie stanowił, że jeżeli obwiniony przyzna się do winy, okaże skruchę i dokona zadośćuczynienia, to można odstąpić od wymierzenia kary. Wobec czego ja i moi koledzy, którzy w tym uczestniczyli, ustaliliśmy, że jeżeli któryś z tych Arabów wpłaci na konto budowy Centrum Zdrowia Dziecka określoną kwotę pieniędzy i wycyrkowaliśmy tak równowartość kwoty czterech tysięcy złotych, bo taka była górna granica kary za wykroczenie, coś koło tego, jeżeli wpłaci taką kwotę, to my go wypuszczamy z aresztu i nie prowadzimy do kolegiów. Z początku to było trudne, bo skoro trzeba było tłumacza, nie można się było dogadać. Ale po kilku dniach praktyki Arabowie się tak wyszkolili, że jak myśmy przychodzili do pracy, ja pytałem dyżurnego: „-Ilu siedzi?” – „Dziesięciu” To przed moim gabinetem na korytarzu już kilku Arabów siedziało. „Ja zapłaciłem”, przekaz pieniędzy mi pokazywał. I płacili, i w walutach [to] złotych polskich kupa forsy. Ja ciekaw jestem do dzisiaj, czy ktoś, kto finansowe sprawy w tym Centrum Zdrowia Dziecka załatwiał, czy zdążył się połapać skąd te pieniądze płyną. Naprawdę były niemałe kwoty. Ale to była taka radosna twórczość w jednym aspekcie tylko, bo w innych aspektach, tak jak mówiłem o tym łomnickim, to praca tam była koszmarna. Takie obciążenie pracą, że wszyscy marzyliśmy o tym, żeby się stamtąd wyrwać. A wyrwać się nie było łatwo, ale mi się udało. Tu też nie było wesoło, ale już problem był innego rodzaju. No, ale obecnie jestem już od wielu, wielu lat na emeryturze. Kiedy ja poszedłem na emeryturę? W 1986 roku. W 1986, tak 30 lat jestem na emeryturze.

W chwili kiedy pan wyjechał na Suwalszczyznę [fakt. Mazury], pan zrezygnował ze służby?

Wiesław Wyszyński: Nie, nie. Ja byłem tutaj funkcjonariuszem. Przeniosłem się służbowo. Wykorzystałem, prosto mówiąc, wykorzystałem ślub z żoną, bo żona mieszkała na Mazurach i ja pod pretekstem tym, że chcę się przenieść tam, gdzie mieszka żona, pod tym pretekstem się przenieśliśmy i to uwzględniono.

A w którym roku pan się na Suwalszczyznę przeniósł?

Wiesław Wyszyński: W 1978 chyba.

Czy zna pan okoliczności, w jakich zginął ojciec we wrześniu, w Warszawie?

Wiesław Wyszyński: Nie znam. To znaczy znam jedną wersję, ale nie wiem, czy ona jest prawdziwa, bo moja matka była trochę skłonna do fantazjowania i opowiadając, według opowiadań matki, było to tak, że jak Niemcy wkraczali do Warszawy, pierwsze te czujki rozpoznawcze, takie patrole, ojciec wyszedł na balkon i się przyglądał. A w ogóle ojciec był szczególnie czuły na punkcie własnej osobowości, egocentryk. Był przepięknym mężczyzną, dwa metry wzrostu, piękny jak, czarny jak kruk. Kobiety za nim szalały, dumny był z tej swojej urody, nie pozwalał, żeby ktokolwiek go zlekceważył, miał taki charakter. No i wyszedł na balkon, i się przyglądał, jak patrole niemieckie wchodziły na Starówkę. I Niemcy, żołnierze, zaczęli mu dawać znaki, żeby zszedł z balkonu, no bo oczywiście się... Nie wiedzieli co to znaczy, że ktoś nie ucieka, nie chowa się, tylko demonstruje swoją osobę. Zaczęli mu kiwać, żeby odszedł, ale nie zszedł. No i jakichś kilku żołnierzy wpadło do mieszkania. Ojca zaczęli... Chcieli jakoś wyjaśnić tę sytuację, albo ojca zabrać, albo coś. I ojciec jednego z tych żołnierzy uderzył w twarz. No i wtedy go wyprowadzono, i ślad po nim zaginął. I prawdopodobnie go gdzieś zastrzelili, byle gdzie, może nawet zaraz koło domu.

Proszę mi przypomnieć adres, to był Rynek Nowego Miasta ile?

Wiesław Wyszyński: 19.

Czyli to był ten balkonik w kamienicy?

Wiesław Wyszyński: Na pierwszym piętrze. No, gdyby panowie chcieli, to mam te zdjęcia nawet.

Natomiast takie pytanie, ponieważ pan bardzo szczegółowo opowiadał o tych różnych zdarzeniach z piwnicy, czy pan je pamięta jako swoje wspomnienie, czy trochę to było wzmacniane opowiadaniem matki?

Wiesław Wyszyński: Nie, proszę pana, to ja pamiętam dokładnie. Aczkolwiek było to utrwalane, bo myśmy na ten czas, dopóki matka żyła i dopóki żyła ta Halina Ruda, to myśmy, przecież ja mieszkałem w Warszawie, to się codziennie prawie z tymi ludźmi spotykałem. Rozmawialiśmy, wspominałem, że to było utrwalane, ale pamiętam to osobiście dokładnie. Natomiast z tego, co zrozumiałem, zapamiętałem, matka w dniu wybuchu Powstania wyszła z panem do pracy, natomiast babcia została na Nowym Mieście 19. – Tak. – I już więcej jej nie... Aha, a propos jeszcze naszej Starówki, opowiem panu rzecz, która nie ma związku może tak bezpośrednio z naszym tematem, ale pewna ciekawa rzecz się kiedyś zdarzyła. Dlatego pana kiedyś przez telefon pytałem o pańskich przodków, czy ze Starówki nie pochodzą. W pewnym okresie, to były lata może tysiąc, no, może już XXI wiek, w każdym razie to jest dość dawno, Gazeta Wyborcza urządzała taką akcję poszukiwawczą, że kto poszukiwał swoich jakichś znajomych,

rodziny z okresu wojny, to oni zamieszczali taką, druczek taki, taką rubryczkę w Gazecie Wyborczej, że należało tam wypełnić, gdzie się mieszkało w czasie okupacji, pod jakim nazwiskiem się występowało i kogo się ewentualnie szuka. Ja wypełniłem taką jedną ankietkę, że mieszkalem na Starówce pod 19., że wtedy nosiłem nazwisko Majewski, bo ja mieszkalem na Starówce, występowałem pod nazwiskiem Majewski, bo moja matka panięskie nazwisko ma Majewska, i matka w czasie okupacji występowała pod nazwiskiem Majewska, ponieważ ukrywała się, siedziała zresztą na Szucha i miała tam jakieś zatargi z Niemcami, i się ukrywała. Mam nawet zdjęcie matki, takie legitymacyjne, podpieczetowane na odwrocie przez posterunek policji na Starówce, na Jezuickiej i tam policjant pisze: „Drugostronna osoba to jest Stanisława Majewska, zamieszkała w Rynek Nowego Miasta 18”. – Mam to zdjęcie. – 19. – 19. No i posłuchajcie panowie co dalej, wysłałem ten druczek na adres Gazety Wyborczej, nie licząc na żaden sukces, ale miałem na myśli to, że może ktoś właśnie ze Starówki, ze starych znajomych, sąsiadów się odezwie. I o dziwo, któregoś razu przyjechaliśmy z wczasów z żoną, wchodzimy do domu, dzwoni telefon. To jest jeszcze przyczynek do tego, jak działa ludzka pamięć. I żona odebrała telefon: „Wiesław, do ciebie”, odbieram telefon i jakaś pani, po głosie starsza, mówi: „Proszę pana, ja się nazywam Krystyna Mazurek, ale z domu jestem Sikorska, my byliśmy sąsiadami i wie pan co, może pan pamięta, my mieliśmy takiego psa...”, a ja w tym momencie: „Żaba, panie ojcze Żaba wodę pije”. Tak do niej. I ona: „No, to się poznaliśmy”. O co chodzi? Jak wspominałem na wstępie, że siedziałem z kolegą tam na chodniku, gryzmoliliśmy w tym asfalcie, to był chłopak z rodziny Sikorskich, ten mój kolega. On mieszkał z rodzicami i oni mieli psa, Żaba się nazywał ten pies. I ja do nich często do domu chodziłem, bawiłem się z tym psem. Ponieważ ja nigdy swojego ojca na oczy nie widziałem, bo ja miałem rok chyba albo mniej, jak ojca zabrali i zabili. I wobec tego pojęcie „ojciec” to było dla mnie coś takiego dziwnego, nowego. I kiedyś, będąc u tych Sikorskich widziałem jak ta Żaba z miski wodę chłepcze. I wydawało mi się to przedziwne zjawisko. I do tego pana Sikorskiego zawałem: „Panie ojcze, a Żaba to wodę pije”. I z tego zrobili sobie stały temat do żartów. Gdzie mnie nie zobaczyli, to: „Panie ojcze, Żaba wodę pije”. I patrzcie państwo, takie głupstwo, takie drobne zdarzenie jak odezwanie się do psa w taki śmieszny sposób, przetrwało tyle lat. Jak ta pani Sikorska zatelefonowała i starała się mi ułatwić przypomnienie sobie i wspomniła, że mieliśmy psa, to ja od razu: „Panie ojcze, Żaba wodę pije”. – To było ponad 60 lat od... – Tyle lat. Tak to utkwiło w pamięci. Tak że czasami człowiek zapamiętuje przedziwne rzeczy w sposób taki logicznie niewytłumaczalny. Coś się uczepli mózgu i tkwi tam, i tkwi. Natomiast jeszcze sprawa z tym obozem. Pan powiedział, że był pan już zmęczony i wycieńczony, że mózg trwale nie zapisał tego czasu, kiedy, w jaki sposób znaleźliście się w obozie. Pewnie ktoś was musiał, Niemcy musieli jakoś na was trafić, złapać, dostawić do miejsca wywozowego, skoro żeście do tego obozu [trafili]...

Matka nigdy nie mówiła, jak do tego doszło?

Wiesław Wyszyński: Ja panu powiem, że ja nigdy z matką na ten temat nie rozmawiałem. Zresztą moje stosunki z matką nie były zbyt ścisłe, powiedzmy, już jak dojrzeliliśmy. Zresztą nawet inne osoby, z którymi razem przeżyliśmy okupację, nie miały skłonności takiej, żeby to jakoś ten temat wątkować i omawiać, i wyjaśniać sobie. Jakoś pomijaliśmy to zawsze milczeniem. To jakoś dziwne nawet z dzisiejszego punktu widzenia to mi się wydaje nawet niewłaściwe i takie bardzo niewłaściwe. Ale w ogóle na ten temat nie rozmawialiśmy. Nie pytałem matki o to. Domyślam się tylko, że albo nas Niemcy złapali, albo już nie mieliśmy wyjścia i sami się zgłosiliśmy do Niemców. I prawdopodobnie nie mieliśmy wyjścia, bo gdzie tu uciekać. Warszawa nie istnieje. Nikt nas nie będzie utrzymywał. Jeść co nie mamy, pracować gdzie

nie mamy. Można się było tylko zgłosić. Taka logiczna moja dedukcja. Ale jak było naprawdę, naprawdę nie wiem.

A jakieś obrazy zapamiętane z tego, jak byliście traktowani przez gospodarzy w tym miejscu, czy w tych miejscach, w których byliście do wywózki do obozu?

Wiesław Wyszyński: Nie wiem, co pan ma na myśli. Jak uciekliśmy z Pruszkowa? Aha. No, z wielkimi obawami. Z wielkimi obawami nas przyjmowano i to tak niechętnie, niemalże wymuszaliśmy to, żeby się tam przespać w jakimś wyrku albo w jakiejś stodole. A już szczytem tego strachu było w tym gospodarce u tych rolników, gdzie ci Niemcy żołnierze przyszl się ogrzać. To już widzieliśmy, że oni się trzęsą ze strachu, tym bardziej, że zauważyli też, że ktoś ich podgląda przez okna, więc mogli się obawiać jakieś zemsty ze strony partyzantów. Niemców się bali naturalnie, tak że to było bardzo takie... Ja dlatego pytam o to, że już w szeregu takich spotkań jak dzisiejsze, tam, gdzie był temat wywózki po Powstaniu przez Dulag, zarówno na poziomie Pruszkowa, jak i już w krakowskim, tam gdzie typowo Niemcy wywozili, że były bardzo różne zachowania Polaków w stosunku do wywożonych z Warszawy. Jedni byli bardzo pomocni, opiekuńczy, a drudzy byli twardzi: „Chcieliśta Powstania, to płaćta” [cytat z innej notacji]. Nie, z taką postawą się nie zetknęliśmy, przy czym ja nie zauważyłem takiej postawy, po prostu się ludzie bali. Aaa, nawet jeszcze zanim, przy tej ucieczce, zanim wyszliśmy z Pruszkowa i matka tam odwiedziła swoją jakąś koleżankę, ze mną wchodząc do niej, żeby się zorientować, czy można jakąś pomoc uzyskać, to ta koleżanka też błagała nas, żebyśmy na wszystkie świętości, żebyśmy jak najszybciej stąd odeszli i upewniała się, czy nikt nas nie widział wchodzący i tak dalej. Ale żeby tak nas potraktować brutalnie i wygonić, to nie nie było tego. Mówił pan też, że było blisko do Oranienburga, czyli to jest miejsce, gdzie był popowstaniowy obóz dla kobiet, które uczestniczyły w Powstaniu. Tam dziewczyny z Powstania w tym obozie były. Ja widziałem tylko te dwadzieścia... To znaczy ja nie liczyłem, ale matka tak we wspomnieniach mówiła, że było nas 20 Polek w tym Bergfelde. I to były wszystkie te kobiety z Powstania, które wyszły. A te Rosjanki, które były, one w osobnym budynku mieszkały, to były już tam od dawniejszych czasów. A nas było, Polek i mnie, było nas około 20 osób.

Natomiast te 20 Polek to były warszawianki cywilne?

Wiesław Wyszyński: Warszawianki, cywilne nie. – Bo w Oranienburgu były dziewczyny, które... znaczy uczestniczyły w Powstaniu, jako żołnierze. Nie, nie, to też były cywilne, zwykłe kobiety.

Podczas wojny był pan dzieckiem, a pewnie obraz wojny przez dziecko jest inaczej odbierany niż przez dorosłych, czy przez matkę. I przez taki pryzmat właśnie dziecięcości, zabawy, panu też coś utkwiło w pamięci?

Wiesław Wyszyński: Proszę panów, jeżeli chodzi o skutki tych przeżyć, to jest tak. Ja w życiu nie miałem kolorowych snów, przyjemnych snów. Mnie się zawsze śniły złe rzeczy. Nie mówię, że jakieś upiory i tak dalej, ale zawsze jakieś straszne, których ja się boję i się budzę. W świecie realnym, w realnym życiu, jeżeli coś ma nastąpić, co nie jest określone, co do skutku, że powiedzmy ktoś bliski mi wyjeżdża w jakąś podróż, to ja już przewiduję najgorsze scenariusze, że może być wypadek, że może komuś zabraknąć pieniędzy, że może go ktoś tam zaczepić i tak dalej.

Mój wnuczek jest żeglarzem. Jak wyjechał na regaty i pływał po Adriatyku, to ja już miałem marszrutę stąd do Włoch opracowaną w mapie i tylko czekałem na jakiś telefon, że coś tam z wnuczką będzie nie w porządku, to ja wsiałam w samochód i jadę. I to jest na każdym kroku. Cokolwiek się dzieje i jest jakaś wątpliwość, co do rezultatu i dotyczy to moich bliskich, ja przewiduję zawsze najgorszy scenariusz. I z tego się już nie wyleczę, to już będzie tkwiło do końca. I tak jak powiedziałem, jestem może w pewnym sensie ponurakiem. Ja wszystko widzę czarno. We wszystkim dopatruję się jakichś ujemnych cech. Tak że mówiąc ogólnie, to ludzie, którzy przeżyli wojnę tak jak ja i byli wrażliwi, to mają złamane życie już na zawsze. Wypaczone, może nie złamane, ale wypaczone już. Już ich osobowość jest inna.

Wspominał pan na samym początku naszego spotkania o sportach obronnych. –

Wiesław Wyszyński: O boksie.. – Aaa, no rzeczywiście, no tak. Proszę pana, w okresie początkowym jak ja pracowałem w milicji i pracowałem na Pradze, to jak ja dziennie nie miałem jakiegoś mordobicia i to nie było takie mordobicie, że coś ja ci pałeczkę pokażę. Tylko to były walki takie, że albo wygrasz, albo może być po tobie. Ja miałem w swoim rewirze służbowym na Kamionku [osiedle w prawobrzeżnej Warszawie] dwóch facetów, których od wyroków śmierci uratowała wojna. Po prostu siedzieli za wyroki śmierci, za zabójstwa, i uratowała ich wojna, bo jak ewakuowano więzienie, to im się udało uciec. Jeden z nich zabił swojego ojca patelnią, mając 13 lat. Oni jak mnie zobaczyli, to im piana szła z ust. Ja z tymi oprychami musiałem się ciągle tarmosić. Byłem na bardzo dobrej szkole podoficerskiej milicji, jak tylko wstąpiłem. Naprawdę na wysokim poziomie, jeżeli chodzi o sporty walki. Tam judo miałem opanowane tak, że jeszcze dzisiaj, jakby mnie krzyż nie bolał, to bym sobie poradził. I to mi się przydawało. Potem zacząłem trenować, jeszcze jako młody chłopak, boks. W hali Gwardii trenowałem. W klubie sportowym Gwardia warszawska trenowałem boks. Trener Żmuda mnie trenował. Tak, trener Żmuda. Tak że wysportowany byłem. I siłą rzeczy, jak na takie życie, jakie ja miałem w dzieciństwie, to ja byłem naprawdę wyjątkowo silny.

W którym roku pan do milicji poszedł?

Wiesław Wyszyński: W 1960 roku. To powiem panu, że ja bardzo dobrze wiem o czy pan mówi jeżeli chodzi o to jak niebezpieczna była praca, bo ja mieszkam ul. Siennicka przy ul. Dwernickiego. Niedaleko był taki czworobok [ulic]: Wiatraczna, Chrzanowskiego, Dwernickiego, tam milicja nie wchodziła w te bloki w mniej niż trzech, czterech, bo po prostu było wysokie ryzyko. Potrafiła na milicjantów polecieć z piętra, z klatki schodowej Trylinka, która waży 36 kilogramów. – Tak. – I tam bandyterka była do roku orientacyjnie 1976, 1977. W parku Skaryszewskim nieboszczyk regularnie się trafiał. Albo pływał w jeziorze Kamionkowskim, albo wisi na drzewie. Takie były klimaty tamtego rejonu. Jeżeli pan zna te klimaty, to może panów urazić, bo panowie są młodszy. Ale opiszę panom moją pierwszą interwencję w charakterze milicjanta. Jak tylko ukończyłem tę szkołę milicyjną w 1960 roku, przydzielono mnie na Pradze Południe na praktykę do starszego dzielnicowego. Aczkolwiek też już byłem na etacie dzielnicowych, ale jeszcze praktykowałem u starszego służbę. I kiedyś Kazio Sikorski, już nieżyjący, on był dzielnicowym właśnie na Lubelskiej. I kiedyś Kazio mówi: „Wiesiek, chodź do mnie, idziemy na bazar na Lubelską, bo tam grają w trzy lusterka i handlarze się skarżą, że ludzie przegrywają forsy na te lusterka i nie mają forsy, żeby kupować. Trzeba tego grającego w trzy lusterka przegonić”. Panowie wiecie, co to za gra?

Tak.

Wiesław Wyszyński: A pan kiwa, że nie, potem panu powiem. No i mówi: „Chodź ze mną, bo trzeba z dwóch stron ich zająć, żeby połapać te karty i forszę, i stolik, i tak dalej”. Chodź, idziemy”. I mówię: „No, idziemy”. Pojechaliśmy tramwajem do Skaryszewskiej i podzieliliśmy się. Ja Skaryszewską idę w kierunku tego bazaru na Lubelskiej, a mój kolega, Kazio Sikorski, Sikorski się nazywał też. Z drugiej strony zachodził tam od Kamionkowskiej chyba, gdzieś tamtędy poszedł. Dałem mu czas na wyprzedzenie, bo to było dalej. Jak uznałem, że Kazio już jest na stanowisku, idę Skaryszewską w kierunku bazaru. Już zza rogu widzę, że tam na chodniku przy wejściu do bazaru jest rozstawiony duży karton. Na kartonie już facet lusterkami macha, płynnie, elegancko, wokół kibice i grający. I ja najpierw idę po cichu przy murze, bo chodzi o co? Złapać go z dowodami rzeczowymi, to było karalne. No i idę powoli, powoli, ale jak już się zbliżyłem i byłem przekonany, że lada chwila oni mnie mogą zauważyć, zacząłem biec. Rozpędziłem się i lecę jak czołg, a to było zimą i w ówczesnym umundurowaniu, buty z cholewami, szynel taki, długi płaszcz sukienny, ciężki. Lecę, tą siłą bezwładności mógłbym zabić człowieka. Pędzę i mijając pewną bramę, z bramy wyskakuje kobieta z niemowlęciem na ręku. I ja ledwo ostatnim wysiłkiem wyhamowałem, żeby jej nie rozbić, bo zdawałem sobie sprawę, że jak trafię w nią, to tego dzieciaka mogę uszkodzić. Ale na szczęście wyhamowałem i cofam się do tyłu, chciałem powiedzieć: „Przepraszam”. A ta kobieta: „Ludzie, ten skurwysyn chciał mi dziecko zabić, ludzie, widzicie, ten bandyta chciał mi dziecko zabić”. I mnie tym niemowlakiem poszturchuje jeszcze. Na szczęście to się rozeszło jakoś tak, ludzie w ogóle nie chcieli tego widzieć i słyszeć, puciekali, ci przechodnie. Ona jak zauważyła, że ci grający w trzy karty też się rozeszli, szybko połapali te swoje pieniądze, karty i uciekli, zobaczyła, że już jest niepotrzebna, to uspokoiła się, i normalnym, spokojnym krokiem odeszła. I w tym samym momencie przybiegł z drugiej strony Kazik. Ja Kazikowi mówię: „Kazik...”, opowiadam mu co się zdarzyło. Kazik, stary wyjadacz: „E, to widocznie ona już wyszła z mamra”. „Wiem kto to, Jadźka Sina”. Ja mówię: „To ty ją znasz?”. – No, znam ją. – A dlaczego ona się nazywa Sina?”. „Bo chła denaturat i ma mordę siną”. „To jak ją znasz, to chodź, idziemy do domu”. Aha, jeszcze przedtem mówię: „Ty, ale ona niemowlaka miała”. „To nie jej niemowlak, ona od siostry pożyczyła tego niemowlaka i idzie na obstawę”. „To ja mówię tak: „No, to ona już jest teraz przypuszczalnie bez dziecka, chodź, idziemy ją złapać, ona mi naubliżała, nazywała mnie skurwysynem i tak dalej”, bo przecież ochrona, prawda... A Kazio, doświadczony człowiek, doświadczenia ja takiego niestety nie miałem, mówi: „Wiesiek, nie wygłupiaj się, chcesz się z taką byle prostytutką po sądach ciągać? Załatwimy to inaczej. I ja powiem jej staremu, że ona kombinuje z tym Ziutkiem grającym w trzy karty, jak on jej wpieprzy, to będziesz miał większą satysfakcję, bo ona wtedy sina nie tylko na pysku, ale cała”. I faktycznie, mówi: „Daj sobie spokój, ona będzie miała stu świadków przeciwko tobie, co ty biedny jeden tam zrobisz”. Takie to było życie.